

ZBIGNIEW DROZDOWICZ



AKADEMICKIE BATALIE. TRADYCJE I WSPÓŁCZESNOŚĆ

ABSTRACT. Zbigniew Drozdowicz, *Akademickie batalie. Tradycje i współczesność* [Academic battles. Tradition and modernity] edited by Zbigniew Drozdowicz, Sławomir Sztajer, „Człowiek i Społeczeństwo” vol. LII: *Globalne i lokalne problemy życia akademickiego* [Global and local problems of academic life], Poznań 2021, pp. 25–44, Adam Mickiewicz University. ISSN 0239-3271, <https://doi.org/10.14746/cis.2021.52.2>.

In these remarks I make the attempt to sketch a battle which in the time span of many centuries had been led by the academic community with the internal and external threats. The first ones included (and still do in large extent) among others interfering in the conducted scientific research by the Church authorities. The latter ones on the other hand included crossing the boundary of science and stepping into the territory infested by all sorts of pseudoscience. Although I recall here just the example of such pseudoscience such as alchemy, but nevertheless it shows well how hard it was and still is for scholars to set these boundaries and not to cross them. In the end of the paper I formulate certain general remarks and suggestions related to the issues tackled in the text.

Keywords: academic battles, academic freedoms, science and pseudoscience, financing of scientific research

Zbigniew Drozdowicz, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Wydział Antropologii i Kulturoznawstwa, ul. Szamarzewskiego 89c, 60-568 Poznań, e-mail: drozd@amu.edu.pl, ORCID: <https://orcid.org/0000-0001-9409-9029>.

Wprowadzenie

W kreśleniu obrazu akademickich batalii wiele zależy od przyjętej perspektywy. Nawet jednak wówczas, gdy kreślący przyjmują podobne perspektywy, wpisują w nie takie realia życia akademickiego, które pod niejednym

względem istotnie się różnią. Widoczne to jest zarówno w tych obrazach, które odwołują się do jego odległych tradycji, jak i w tych, które związane są z jego współczesnymi problemami. Wprawdzie te drugie z reguły pozostają w jakichś związkach z tymi pierwszymi, to jednak życie akademickie na przestrzeni wieków przeszło tak głębokie transformacje, że trudno w nim rozpoznać to, co jeszcze należy do przeszłości, a co już tylko do terażniejszości. Dotyczy to m.in. podstawowych dla tego życia kwestii, jakimi były i są akademickie wolności, oznaczające – poza wszystkim innym – uprawnienia uczonych do podejmowania problemów badawczych i kształcenia studentów bez oglądania się na to, co w tej kwestii miały i mają do powiedzenia Kościoły, władze polityczne czy tzw. opinia publiczna. Kwestia ta pojawiła się już w momencie powstania pierwszych uniwersytetów, tj. pod koniec XI i na początku XII wieku, a później batalia o te wolności toczyła się z różnym nasileniem przez stulecia i trwa praktycznie do dzisiaj (Melosik, 2009). Rzecz jasna nie było to jedyne pole zmagania akademickiej społeczności z różnego rodzaju przeciwnikami i przeciwnościami. Inne – łączące się zresztą bezpośrednio z walką o akademickie wolności – związane były z walką o środki materialne, w tym o pieniądze na prowadzenie badań. Do najistotniejszych w akademickim życiu należy również wskazanie granicy między nauką i pseudonauką oraz pozostawanie na gruncie tej pierwszej. W niniejszych rozważaniach podejmuję próbę naszkicowania obrazu tych batalii i przedstawienia co bardziej znaczących ich uczestników. Oczywiście obraz ten jest selektywny. Inaczej jednak być nie może przy tak krótkiej prezentacji. Znalazły się w nim także kwestie związane z polskimi realiami akademickimi, przy czym nie dlatego, że uznaję życie akademickie w naszym kraju pod wieloma względami za wzór do naśladowania przez innych, lecz przede wszystkim dlatego, że jest mi ono stosunkowo najlepiej znane i że może w stosunkowo największym stopniu interesować adresatów rozważań.

Batalia o prestiż, władzę i pieniądze

Obraz życia akademickiego na pierwszych uniwersytetach europejskich można znaleźć m.in. na kartach dzieł francuskiego mediewisty Jacques'a Le Goffa (1924–2014). Był on zdeklarowanym agnostykiem i w realiach średniowiecza znajdował wprawdzie różnych świętych Kościoła, ale w życiu akademickim raczej niewiele świętości. Potwierdzeniem są wizerunki tych teologów, którzy w owym czasie odgrywali w nim znaczące role, np. św. Bernarda z Clairvaux. W nakreślonym przez Le Goffa obrazie ówczesnych akademickich wielkości

to nie jemu jednak, ani też żadnemu innemu teologowi zaangażowanemu w obronę Kościoła i ugruntowanie chrześcijańskiej wiary, przypadła główna rola, lecz takim filozofom i logikom jak Pierre Abelard. Autor *Inteligencji w wiekach średnich* napisał o nim, że był „chlubą ośrodka paryskiego”, „pierwszym wielkim intelektualistą nowoczesnym”, „pierwszym takim profesorem, który pragnął obalenia bożyszcz” (Le Goff, 1997: 49 i n.). Do historii przeszła jego heroiczna walka z takimi „niezachwianymi w swojej doktrynie” mistrzami paryskiego ośrodka akademickiego, jak wspomniany tutaj św. Bernard i bp Wilhelm z Champeaux. Zakończyła się ona wprawdzie upokarzającą porażką Abelarda, lecz w dłuższej perspektywie walki o prawo do głoszenia swoich poglądów bez oglądania się na to, co mówią kościelne autorytety, historia miała jemu właśnie przyznać zwycięstwo. Trzeba jednak dodać, że istotny wpływ na jego życiowe losy miała też wielka miłość do Heloizy (jednej z uczennic założonego przez niego żeńskiego klasztoru) oraz obdarzanie swoich oponentów takimi epitetami, że nawet święty by się obruszył. Przykładowo: o urzędującym przy papieżu Innocentym II kardynale Kuno napisał, że jest to „półgłówek”, o św. Bernardzie, że to „oszust i oszczerca”, a o bp. Wilhelmie z Champeaux, że to „obłudny świętoszek, którym kieruje chciwość i zawiść”. Te i podobne epitety pojawiają się w jego listach pisanych do przyjaciół (Abelard, 1952: 47 i n.). Nie można jednak wykluczyć, że dzielił się swoimi opiniami także z tą młodzieżą, o której Le Goff (1997: 49) pisze, że przychodziła na jego wykłady i „wędrowała za nim do Melun, potem do Corbeil, gdzie prowadził szkołę”.

Rzecz jasna w ówczesnym życiu akademickim toczyła się walka nie tylko o prestiż i takie związane z nim kwestie jak prawo do głoszenia własnych poglądów, lecz również o takie przyziemne cele jak otrzymywanie godziwej płacy za godziwą pracę. Co więcej, znacząca część ówczesnej profesury w tej ostatniej kwestii miała nie tylko spore oczekiwania, ale i umiejętności ich wcielania w życie. Niestety nie zawsze szły one w parze z wysokimi zasadami moralnymi. Le Goff (1997: 119) pisze, że wielu z nich „stało się bogatymi właścicielami. Idąc za przykładem innych bogaczy, zajmowali się ponadto spekulacją i parali się lichwą. Zwłaszcza pożyczając na procent biednym studentom, biorąc najczęściej w zastaw przedmioty mające dla nich wartość podwójną, a mianowicie książki”. Byłoby jednak zbyt dużym uproszczeniem sprowadzanie ówczesnych realiów życia akademickiego do wymienionych tutaj kwestii. Autor przywoływanej monografii zresztą go do nich nie sprowadza. W jego obrazie *Inteligencji w wiekach średnich* pojawia się m.in. tak ważna do dzisiaj kwestia jak próba uwolnienia się uniwersytetów nie tylko spod kurateli Kościoła, ale także od władzy świeckiej,

i to zarówno w zakresie stanowienia ich ustroju, jak i programów kształcenia. Należy to do podstawowych wolności akademickich.

W późniejszych wiekach te zmagania nie tylko różnie wyglądały, ale też różnie przekładały się na funkcjonowanie życia akademickiego i realizowanie tego, co jest w nim najistotniejsze, tj. zarówno prowadzenie badań naukowych i osiągnięcie w nich znaczących wyników, jak i kształcenie studentów na takim poziomie, który nie będzie przynosił wstydu i im samym, i ich akademickim nauczycielom. W okresie od XII do XVI stulecia pojawiło się w Europie wiele nowych uniwersytetów oraz takich naukowych wielkości, które zapisały znaczące karty w historii nauki – tylko tytułem przykładu można wymienić osiągnięcia profesora padewskiego uniwersytetu Galileusza (Reston, 1998). Takie uczelnie i tacy uczeni stanowili jednak mniejszość. Większość stanowili ci, o których Le Goff (1997: 139) napisał, że uprawiali „skostniałą scholastykę”. Natomiast holenderski filozof i uniwersytecki wykładowca (m.in. na Uniwersytecie Oksfordzkim) Erazm z Rotterdamu (1469–1536) w swojej *Pochwale głupoty* przedstawiał ówczesne uczelnie jako ostoję głupoty właśnie, a ówczesnych uczonych jako tych, którzy wprawdzie „trąbią o swojej chwale”, lecz przez to trąbienie ich głupota nie przestaje przecież być głupotą (Erazm z Rotterdamu, 1953: 9 i n.).

Jeśli w następnych stuleciach coś się na uniwersytetach zmieniło, to w wielu przypadkach raczej na gorsze niż na lepsze. W XVIII w. niejeden z nich znalazł się w głębokim upadku. Dotyczy to m.in. takich wiodących dzisiaj uczelni, jak uniwersytety w Cambridge i Oxfordzie. George M. Trevelyan w swojej *Historii społecznej Anglii* powołuje się na Edwarda Gibbona, cenionego historyka epoki oświecenia (szczególnie wysokie uznanie zyskał jego *Zmierz Cesarstwa Rzymskiego*), który jako uprzywilejowany student (*gentleman-commoner*) miał w roku 1752 jadać przy stole członków kolegium w Magdalen College Oxford i tak opisuje ich obyczaje: „W sumieniu swym rozgrzeszali się od trudu czytania, myślenia i pisania. Rozmowa ich grzęzła w kręgu spraw kolegialnych, polityki torysów, spraw osobistych i prywatnych plotkach; ich nudne pijatyki na umór usprawiedliwiały krewką niewstrzemięźliwość młodzieży” (Trevelyan, 1961: 355 i n.).

Nie lepiej było na uczelniach tych krajów, które nie miały aż tak długich tradycji akademickich jak ten angielski uniwersytet. Należała do nich Polska – wówczas Rzeczpospolita Obojga Narodów (polskiego i litewskiego). W XVIII stuleciu funkcjonowały w niej trzy uniwersytety (w Krakowie, Lwowie i Wilnie) i każdy z nich przeżywał w tym czasie głęboki kryzys naukowy i dydaktyczny. Na stosunkowo najwyższym poziomie stały badania i akademickie nauczanie w uczelni krakowskiej – noszącej miano Akademii

Krakowskiej. Nie oznacza to jednak, że poziom ten był wysoki, o czym świadczy m.in. *Raport z wizytacji Akademii Krakowskiej odbytej w r. 1777* sporządzony przez jednego z jej absolwentów i późniejszego reformatora Hugona Kołłątaja. Swoją macierzystą uczelnię nazywał on „szacownym mamutem”, w którym był wprawdzie Wydział Lekarski, ale nie było na nim ani jednego „szkieletrona” oraz innych „monstrów” do kształcenia studentów. Był na nim również Wydział Filozoficzny, ale wykładano na nim „skostniałą” scholastykę (Kołłątaj, 1953: 155 i n.). Współczesny znawca realiów tamtego okresu pisze, że na tej uczelni „wrogo odnoszono się do rozwijających się na Zachodzie nauk przyrodniczo-matematycznych. Nie uznawano systemu Kopernika, choć był on uczniem i chlubą Akademii Krakowskiej, odrzucano poglądy Kartezjusza i teorię Newtona, astronomowie wykładali bez obserwatorium, a fizycy zamiast eksperymentami zajmowali się metafizyką. [...] W roku 1777 Komisja Edukacji Narodowej przystąpiła do reformy Akademii Krakowskiej, powierzając to zadanie Hugonowi Kołłątajowi, który początkowo jako wizytator, a następnie jako rektor uczynił z niej nowoczesny ośrodek naukowo-dydaktyczny” (Seidler, 1984: 159 i in.). Późniejsza historia Polski potoczyła się jednak w taki sposób, że na długie lata nasz kraj znalazł się pod zaborami, a o tym, jak wyglądały na istniejących w nich uczelniach badania naukowe i kształcenie studentów, decydowali jego zaborcy.

Do zasadniczej poprawy sytuacji w życiu akademickim Europy doszło w XIX stuleciu, i to głównie w jego drugiej połowie. Miało to związek m.in. z pojawieniem się w życiu umysłowym wielu społeczeństw zachodnich dosyć radykalnego antyklerykalizmu. Zaznaczył on swoją obecność również na niejednej wyższej uczelni i doprowadził w części krajów do ich uwolnienia spod kurateli Kościoła (tak się rzecz miała m.in. we Francji), w innych do pozostawienia mu wprawdzie niektórych przywilejów edukacyjnych, ale nie takich, które mogłyby stanowić poważne przeszkody dla prowadzonych badań w naukach przyrodniczych i społecznych (tak się rzecz miała m.in. w Anglii). Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że nawet w tych krajach, w których pozostawiono uczonym dużo więcej swobody niż w poprzednich stuleciach w podejmowaniu problemów badawczych oraz w zakresie ogłaszania wyników ich badań, istniały nadal nie tylko spore ograniczenia prawne, ale i obyczajowe. Pokazują to m.in. badania prowadzone przez angielskiego przyrodnika Karola Darwina (1809–1882), autora opublikowanej w 1859 r. rozprawy *O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego*. Wprawdzie przynajmniej w pierwszym wydaniu tej książki nie utrzymywał on, że takie „szlachetne” stworzenie, jakim jest człowiek,

pochodzi od znacznie mniej szlachetnej małpy (i dobry Pan Bóg nie ma z tym nic wspólnego, a być może nawet nie istnieje), to jak piszą biografowie tego uczonego, wywołała ona głębokie kontrowersje także w środowisku akademickim i sprawiła, że teoria ewolucji miała zdecydowanie więcej przeciwników niż zwolenników. „Pierwszą poważną i szeroko omawianą konfrontacją [...] było starcie między zwolennikami a przeciwnikami Darwina na sławetnym zebraniu Brytyjskiego Stowarzyszenia Popierania Nauki, które odbyło się w Oxfordzie w sobotę 30 czerwca 1860 roku, jakieś sześć miesięcy po opublikowaniu pierwszego wydania. Darwin naturalnie nie zjawiał się na tym spotkaniu, ale jego «generałowie» Hooker, a zwłaszcza Huxley – od wielu lat dobrze przygotowani do tego, aby zastępować Darwina w walce o słusność teorii ewolucji przeciwko wszelkim fanatykom i niedowiarkom – stanęli w szranki, podczas gdy sam autor krążył po Down House” (White i Gribbin, 1998: 239 i n.). Warto odnotować, że ten uczonego ani przed sformułowaniem, ani też po sformułowaniu swojej teorii nie był zatrudniony na żadnej z ówczesnych uczelni, a przełomowe badania prowadził jako tzw. wolny strzelec. Nie był jednak w żadnym razie amatorem, gdyż nie tylko miał gruntowne wykształcenie (uzyskane na uniwersytetach w Edynburgu i w Cambridge), ale też współpracował w zakresie badań przyrodniczych z innymi znaczącymi uczonymi tamtych czasów (takimi jak Joseph Hooker i Charles Lyell).

W końcu XIX stulecia i w okresie późniejszym coraz trudniej było uzyskać znaczące wyniki w nauce, funkcjonując poza akademickimi strukturami. Potrzebne było i jest do tego bowiem nie tylko laboratoryjne wyposażenie, ale także takie doświadczenie, które można zdobyć wyłącznie w pracy zespołowej. Ważne jest przy tym, aby członkowie zespołu mieli nie tylko wysokie i zróżnicowane kwalifikacje, ale też chcieli i potrafili ze sobą współpracować. Rzecz jasna z tym ostatnim różnie bywa w praktyce. Tacy uczeni to zwykle silne osobowości i niejeden z nich ma ambicje, które mogą, ale nie muszą iść w parze z ambicjami innych członków zespołu prowadzącego wspólne badania. Jako przykład przywołam tutaj członków zespołu badawczego, który dokonał w 1953 r. przełomowego odkrycia struktury DNA (wielocząsteczkowego organicznego związku chemicznego z grupy kwasów nukleinowych, pełniących rolę nośnika informacji genetycznej organizmów żywych). Stanowiło go czterech brytyjskich uczonych, tj. biochemik Francis Crick, fizyk i biochemik Maurice H.F. Wilkins, fizyk i chemik Rosalind E. Franklin i biochemik James D. Watson. Ten ostatni opublikował w 1968 r. książkę *Podwójna helisa*, w której przedstawił zarówno warunki pracy uczonych (bez wątpienia znacznie lepsze niż te,

które towarzyszyły odkryciu promieniotwórczości), jak i charakterystyki osobowościowe członków tego zespołu. W ich świetle najbardziej barwną postacią był w nim Crick. Jeśli wierzyć temu przekazowi, to „nigdy nie zdarzało się go spotkać w nastroju skromnej powściągliwości”, a już na pewno małowówności: „gdy przychodziło mu coś niezwykłego do głowy, to niezwykle podniecony mówił o tym każdemu, kto tylko gotów był go słuchać. Po jednym czy dwu dniach zdawał sobie jednak sprawę z niedoskonałości swojej teorii i wracał do doświadczeń – póki nuda nie skłoniła go do ponownego pograżenia w teorii” (Watson, 1995: 15 i n.). Specjalistami od prowadzonych przez ten zespół doświadczeń byli Wilkins i Franklin. Zdaniem Watsona „niemal od chwili pojawienia się w laboratorium oboje działali sobie na nerwy”. Co gorsza, żadne z nich nie chciało ustąpić pierwszeństwa w badaniach nad dyfrakcją promieni rentgenowskich, a Franklin miała się nawet „domagać, aby DNA zostało oddane jej «na własność» jako przedmiot jej własnych badań” (Watson, 1995: 21). Łatwo się domyśleć, że taka charakterystyka nie wywołała zachwyty jej obiektów, lecz książka Watsona spotkała się z szerokim zainteresowaniem i doczekała przekładów na wiele języków.

Takie żartobliwe i – co tu dużo mówić – złośliwe charakterystyki koleżanek i kolegów po fachu nie są czymś nadzwyczajnym w życiu akademickim. I wprawdzie ubarwiają to życie, a nawet podnoszą niejednokrotnie jego temperaturę, to jednak nie one określają listę problemów, które są podejmowane dzisiaj przez uczonych. Po to wszakże, aby je rozwiązywać, potrzeba nie tylko uczonych o wysokich i zróżnicowanych kwalifikacjach, ale także znaczących środków finansowych na inwestowanie w infrastrukturę badawczą oraz w takie uposażenie badaczy, które sprawi, że będą się mogli skupić na swoich badaniach, a nie na szukaniu jakiegoś dodatkowego źródła dochodów.

Z tym ostatnim różnie bywa w różnych krajach, nawet w tych najbogatszych, takich jak Stany Zjednoczone, lecz tam, gdzie środków tych nie brakuje, nie brakuje również znaczących osiągnięć naukowych. Przykładem mogą być badania prowadzone w znajdującej się w stanie Kalifornia Dolinie Krzemowej. Dzisiaj działa tam m.in. jedno z najważniejszych centrów sektora zaawansowanych technologii. Początki tego ośrodka badawczego były oczywiście znacznie skromniejsze. Ufundowany został pod koniec XIX w. przez gubernatora tego stanu Lelanda Stanforda jako jednostka filialna Uniwersytetu Stanforda. Jego działalność zyskała na znaczeniu w momencie zlecenia przez rząd USA badań nad bronią jądrową – zakończonych zresztą sukcesem, jeśli tak można nazwać skonstruowanie broni jądrowej i jej wykorzystanie w wojnie tego kraju z Japonią. Rzecz jasna nie byłby on

możliwy nie tylko bez skupienia w ośrodku najwyższej klasy specjalistów od problemów związanych ze sztucznie wywoływanym promieniowaniem, ale także bez ogromnych środków finansowych przeznaczonych przez rząd kraju na prowadzone badania i zadania. Trzeba jednak wyraźnie powiedzieć, że postępy chemii i związanej z nią fizyki przekładają się nie tylko na skonstruowanie broni jądrowej, ale mają swoje zastosowania w wielu innych dziedzinach, takich jak medycyna, energetyka czy rolnictwo. Jest mało prawdopodobne, aby ci uczeni, którzy dokonali w drugiej połowie XIX stulecia odkrycia zjawiska promieniotwórczości, wyobrażali sobie, że będzie miało ono później tak liczne i tak różne zastosowania.

Póki co w Polsce nie ma takich ośrodków badawczych jak te znajdujące się w Dolinie Krzemowej i są raczej niewielkie szanse na to, aby się one pojawiły w dającej się przewidzieć przyszłości – chociażby z tego powodu, że na naukę przeznaczają się u nas znacznie mniejsze środki finansowe niż w przodujących w tym zakresie krajach zachodnich.

Nie można jednak powiedzieć, że w ponad stu latach Polski niepodległej nic się pod tym względem nie zmieniło na lepsze. Wprawdzie po zakończeniu II wojny światowej badania naukowe były finansowane tak skromnie, że wstyd było obnosić się z tą biedą przed zagranicznymi kooperantami, lecz w późniejszych latach nastąpiła lekka poprawa. Odbywało się to na swoisty społeczny kredyt, badania finansowane były w ogromnej mierze z budżetu państwa, a ten nie był wielki. Spore zmiany zaszły po przełomie 1989 r., nie na tyle wszakże duże, aby można było powiedzieć, że dzisiaj nie istnieje już przepaść między finansowaniem nauki w Polsce i w wiodących krajach zachodnich. Nie chciałbym jednak uchodzić za samotnego malkontenta, który uważa, że zrobiono w tym zakresie mimo wszystko za mało. Przywołam zatem generalne konkluzje raportu prof. Wiesława Banysia (b. rektora Uniwersytetu Śląskiego i b. Przewodniczącego Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich) z października 2019 r., *Finansowanie szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce z uwzględnieniem perspektywy międzynarodowej* (Banyś, 2019). Jego „generalny wniosek, który wypływa z przedstawionych analiz, jest taki, iż z jednej strony konieczne jest zdecydowane zwiększenie finansowania budżetowego B+R (Badania + Rozwój) do wartości określonych w Strategii Europa 2020, a z drugiej strony, zdecydowany wzrost finansowania B+R ze źródeł pozabudżetowych (szeroko rozumianego biznesu i przemysłu), co jest drogą do osiągnięcia synergii obu tych zasadniczych strumieni finansowania badań naukowych i wzrostu obu w kategoriach % PKB przeznaczanego na badania naukowe i rozwój”. Można mieć pewne nadzieje na to, że owi biznesmeni

i przemysłowcy sypną jakimś groszem z tzw. dobrego serca lub z sentymentu do swojej macierzystej uczelni. Z reguły jednak są to tylko grosze. Znacznie większe środki z ich strony pojawiłyby się zapewne wówczas, gdyby uzyskali oni w zamian takie ulgi finansowe, jakie mają darczyńcy i fundatorzy w krajach zachodnich. Problem zaś nie tylko w tym, że nasze regulacje prawne są za mało zachęcające, by biznesmeni i przedsiębiorcy przeznaczali duże pieniądze na naukę, ale także w tym, że mało który z nich dysponuje takim kapitałem jak zachodni kapitaliści. Na razie więc głównym źródłem finansowania uczelni wyższych i nauki w Polsce pozostaje ministerialna dotacja, nazywana od 2019 r. subwencją (od poprzedniej różni się ona m.in. tym, że może być „wydatkowana w elastyczny sposób”), uzupełniana dochodami własnymi uczelni (pochodzącymi głównie z opłat za studia niestacjonarne) oraz środkami unijnymi. Wysokość tych ostatnich nie jest wprawdzie symboliczna, lecz nie można powiedzieć, że rzuca na kolana.

Spore zmiany w Polsce zaszły również w relacjach uczonych i uczelni z władzami politycznymi kraju, ale gdybym miał odpowiedzieć na pytanie, czy przyniosły one dużo lepsze lub przynajmniej dużo poważniejsze traktowanie przez owe władze akademickich wolności, to powiedziałbym, że zależy to od punktu odniesienia. Jeśli odnosić obecną sytuację do tej, która miała miejsce po zakończeniu II wojny światowej i trwała praktycznie, ze stosunkowo niewielkimi zmianami, do przełomu 1989 r., to z całą pewnością tak. W tamtym okresie u władzy znajdowała się w gruncie rzeczy tylko jedna partia (PZPR) i jej przywódcom wydawało się, że wiedzą najlepiej, czego potrzeba polskiemu społeczeństwu i polskim uczelniom, a tym, którzy twierdzili, że owi przywódcy się mylą, pozostawało szukanie sobie miejsca albo poza granicami naszego kraju, albo też w takich jego miejscach, z których ich głos byłby raczej słabo słyszalny, a co za tym idzie – nie miałyby większego wpływu na społeczeństwo. Nie oznaczało to jednak, że zostały przed nimi całkowicie zamknięte bramy wszystkich uczelni i instytutów badawczych. Utworzono bowiem takie jednostki uczelniane i badawcze, które można nazwać miejscami swoistej izolacji takich uczonych. Stanowiły je zarówno placówki Polskiej Akademii Nauk, jak i takie usytuowane na peryferiach nowe uczelnie jak Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu. Inna sprawa, że przynajmniej niektóre z nich po kilkudziesięciu latach funkcjonowania zdołały dołączyć do wiodących polskich ośrodków akademickich.

Po przełomie 1989 r. społeczeństwo pożegnało się (w znacznej mierze bez większego żalu) z wiedzącą wszystko najlepiej polityczną władzą i „ufundowało” sobie demokrację, która przynajmniej pod niektórymi względami przypominała demokracje w krajach zachodnich. Gdybym

wszakże miał odpowiedzieć na pytanie, czy ta niechlubna przeszłość relacji między środowiskiem akademickim i władzami politycznymi przeszła już do historii, to miałbym co do tego pewne wątpliwości. Odwołam się tutaj tylko do jednej wypowiedzi obecnego szefa resortu edukacji i nauki min. Przemysława Czarnka. Zapytany o „finansowanie instytucji badawczych na podstawie obecnego algorytmu”, stwierdził on, że widzi konieczność takiej jego zmiany, która będzie oznaczała „wzmocnienie uczelni umiejscowionych poza wielkimi ośrodkami akademickimi, jak Warszawa, Kraków czy Poznań” (Czarnek, 2021: 7). Wygląda na to, że minister jest przekonany, iż najistotniejsze „karty” związane z tymi finansami nadal znajdują się w jego ręku i może nimi „zagrać” według swojego uznania. Powiem zatem krótko: każdy algorytm można zmienić – i dla osób pełniących ministerialne funkcje jest to na tyle proste, że mogą to zrobić w krótkim czasie. Znacznie zaś trudniej jest tak wydatkować środki uzyskane przez dotąd prowincjonalne ośrodki, aby przynajmniej w dłuższej perspektywie poprawiły one znacząco swoją obecną kondycję naukową. Gdyby bowiem to pieniądze były główną siłą sprawczą w nauce, to dzisiaj szejkowo arabscy mieliby najlepsze uczelnie na świecie, a ich uczeni braliby najbardziej prestiżowe wyróżnienia (a na razie tak nie jest).

Batalia o naukową wiedzę i jej zastosowania – przypadek alchemii

Problem różnicy i granicy między nauką i pseudonauką ma długie akademickie tradycje. Historycznie rzecz ujmując, był on różnie rozwiązywany, ponadto nie na tyle skutecznie, aby do niego już więcej nie powracać. Stwierdzenie, że dziś łatwiej się z nim uporać niż w przeszłości, jest tylko częściowo trafne, gdyż w miejsce dawniejszych pseudonauk pojawiają się nowe lub w gruncie rzeczy stare, lecz w nieco zmodyfikowanej formie (Kaufman i Kaufman, 2018). Do takich pseudonauk należała i w jakiejś mierze należy nadal alchemia. Wybrałem ją do zilustrowania historycznej batalii o wiedzę i jej zastosowania nie tylko dlatego, że stanowi dobry przykład łączenia pseudonaukowych teorii z pseudonaukowymi praktykami, ale także dlatego, że łączyła niejednokrotnie tak różne dyscypliny, jak medycyna, astrologia czy fizyka. Wprawdzie dzisiaj alchemików raczej trudno znaleźć wśród akademickich uczonych, to jednak wielu z nich sprzedaje swoje wątpliwe „umiejętności” poza murami uczelni, i nie brakuje takich, którzy mają akademickie stopnie naukowe i zajmują akademickie katedry (Gauquelin, 1955). Na pytanie, co mają do zaoferowania swoim klientom, odpowiedź

może być prosta: to „umiejętność” nie tylko przekształcania nieszlachetnych pierwiastków (takich jak sól, siarka, rtęć czy ołów) w szlachetne (takie jako srebro i złoto), lecz również znajdowania takiego „magicznego kamienia”, który powinien zarówno mieć właściwości lecznicze, jak i przyczyniać się do przedłużania ludzkiego życia.

W takie „umiejętności” alchemików wierzyli nie tylko prości i słabo wykształceni ludzie, także niejeden z władców gotowy był sownie wynagradzać ich za usługi. Z tych usług korzystali egipscy faraonowie (termin *alchemia* pochodzi z arabskiego słowa *al-kīmiyā*, oznaczającego coś czarnego, np. czarną ziemię lub czarny proch) i chińscy cesarze. W kulturze hellenistycznej alchemia łączyła się ze starożytną mitologią, w szczególności z wiarą w moc boga Hermesa Trismegistusa – jego laska węża stała się później symbolem zachodniej alchemii. W czasach starożytnych alchemia stanowiła źródło inspiracji dla pitagoreizmu, platonizmu, arystotelizmu i gnostycyzmu. Próby ograniczenia jej wpływów podejmowali zarówno niektórzy cesarze rzymscy (np. cesarz Dioklecjan w 292 r., który nakazał spalenie wszystkich ksiąg alchemicznych), jak i niektórzy wielcy teolodzy chrześcijańscy (np. św. Augustyn, który zaliczał ją do bałwochwalczych wierzeń i praktyk). Okazały się one jednak na tyle mało skuteczne, że najpierw prawo obywatelstwa w publicznym obiegu zyskały przekłady z greki na łacinę sztandarowych dzieł alchemików (takie jak opublikowana w 1144 r. *Księga składu alchemii*), a nieco później pojawiły się komentarze autorstwa akademickich uczonych. Jednym z nich był komentarz profesora Uniwersytetu Oksfordzkiego Rogera Bacona *Opus Majus (Wielkie dzieło)*, zawierający taką wykładnię alchemii, w której łączy się ona nie tylko z astrologią, ale też z chrześcijańską teologią. W późniejszym czasie przeciwko wierzeniom i praktykom alchemików występowali niektórzy hierarchowie Kościoła rzymskiego (w 1317 r. papież Jan XXII wydał edykt *Spondent quas non exhibent divitias* zakazujący tego rodzaju praktyk) oraz władcy świeccy (w 1403 r. zakazał ich król Anglii Henryk IV). Znacznie dłuższa była jednak lista tych władców, którzy nie tylko je tolerowali, lecz nawet zgłaszali konkretne zapotrzebowania u alchemików i zatrudniali ich na swoich dworach (Nummedal, 2007: 86 i n.).

Natomiast w środowisku akademickim było czymś powszechnym łączenie przez uczonych alchemii nie tylko z astrologią, ale także z astronomią, fizyką, mineralogią i medycyną, w tym z ziołolecznictwem. Jednym z takich uczonych był szwajcarski medyk i przyrodnik Philippus Aureolus Paracelsus (wł. Theophrastus Bombastus von Hohenheim, 1493–1541), wykładowca medycyny na uniwersytetach w Bazylei i w Ferrarze. Stosowane przez niego

w Alzacji praktyki lecznicze sprawiły, że tamtejsi lekarze wykluczyli go w 1529 r. ze swojego cechu. Sprawilo to, że późniejsze dzieła (w tym najważniejsze z nich *Opus Paragranum*) podpisywał jako *Doktor Paracelsus*. Swoje praktyki opierał jednak nie na tym, co mógł wyczytać w różnego rodzaju podręcznikach i poradnikach, lecz na tym, co mógł zaobserwować w trakcie podróży po wielu europejskich krajach (jako lekarz wojskowy przebywał m.in. we Włoszech, w Niemczech, Hiszpanii, Francji, w krajach skandynawskich oraz w Polsce), oraz na własnej praktyce lekarskiej. Takie zdobywanie medycznych kwalifikacji zalecał również innym ówczesnym medykom (White, 1894).

Dzisiaj Paracelsus uznawany jest za prekursora toksykologii. W jego poglądach i stosowanej przez niego praktyce leczniczej toksykologia opiera się jednak w istotnym stopniu na wierzeniach alchemicznych. Nie tylko bowiem przyjmował podział pierwiastków na: palny (siarka), płynny (rtęć) oraz stały (sól) – tzw. koncepcja trójzasadowa, ale ponadto był przekonany, że ich występowanie w niewłaściwych proporcjach jest źródłem wszelkich chorób. Każdemu z tych pierwiastków przypisywał zdolność kreowania ludzkiej tożsamości – sól miała określać ludzką cielesność, rtęć duchowość, a siarka emocjonalność (Webster, 2008). Dla zachowania przez człowieka zdrowia cielesnego i duchowego żaden z tych pierwiastków nie powinien występować w nadmiarze. By ustalić, czy tak się nie dzieje, przeprowadzał analizę moczu (również dzisiaj stosowana jest taka diagnostyczna praktyka). Na kartach dzieła Paracelsusa *Astronomia magna* alchemiczne przekonania łączą się z astrologicznymi – tu przykładem może być przekonanie, że choroba i zdrowie człowieka zależne są nie tylko od wymienionych wyżej trzech pierwiastków, ale także od jego pozostawania w harmonii z makrokosmosem. Uczony był przy tym przekonany nie tylko o tym, że we wszechświecie wszystko jest ze sobą połączone, ale i o tym, że gwiazdy mogą wywoływać u człowieka choroby, a ich leczenie wymaga wsparcia innych gwiazd (Wear, 1995: 315 i n.).

W późniejszych wiekach stosunek do Paracelsusa był dwojaki: nawiązywano do jego przekonań alchemicznych i astrologicznych, a nawet przedstawiano jako proroka i „uzdrowiciela niemieckiego narodu”, ale też traktowano go jako pseudouczzonego-okultystę i społecznego szkodnika; przypisywano mu m.in. odpowiedzialność za upowszechnienie się w Europie używania opium jako środka leczniczego (Benzenhöfer, 1993: 163 i n.). Zarzuty te nie były całkowicie bezzasadne, gdyż opracowana i stosowana przez niego receptura, nazywana *laudanum*, zawiera ten narkotyk (Sigerist, 1941). Trzeba jednak dodać, że miał on również autentyczne osiągnięcia

naukowe, jak przyczynienie się do skutecznego leczenia kiły oraz do traktowania chorych psychicznie nie jako opętanych przez złe moce, lecz jako osoby „usidlone” chorobą, którą można i należy leczyć.

W XVII i XVIII stuleciu alchemicy cieszyli się nadal sporym uznaniem nie tylko wśród prostych ludzi, ale też u ówczesnych elit społecznych. Potwierdzeniem tego jest m.in. zapotrzebowanie na różnego rodzaju poradniki alchemików i częste wydawanie takich publikacji. Szczególnie dużym wzięciem cieszyły się poradniki dotyczące wytworzenia kamienia filozoficznego. Jednym z cieszących się wówczas uznaniem alchemików był Michał Sędziwój (1566–1636), autor *Traktatu o kamieniu filozoficznym*. Według podanej w książce „receptury” do jego „wyprodukowania” należy zebrać ziarna pszenicy w porannej rosie, zamoczyć je w winie lub w miodzie, dodać do tego krwi zwierzęcej i moczu, po czym wymieszać to wszystko z siarką, rtęcią i ołowiem (Sędziwój, 1971). Od czasów starożytnych pszenica była traktowana przez alchemików nie tylko jako symbol życia, ale też jako substancja w największym stopniu przyczyniająca się do jego przedłużenia. Niektórzy z nich takie właściwości przypisywali również ziarnom owsa i kukurydzy. W pozyskiwaniu chętnych na usługi alchemików wiele zależało nie tylko od ich zdolności perswazyjnych, ale i od tego, komu je oferowali. Nie można jednak powiedzieć, że byli to wyłącznie prości i niewykształceni ludzie, w tym gronie można było bowiem znaleźć także arystokratów.

Epokę oświecenia przyjęło się uważać za ten okres w historii zachodniej kultury, w którym położono kres wielu przesądom. Pod niejednym względem faktycznie tak było, lecz ważniejsze przyjrzenie się osiągnięciom tych uczonych, którzy zapisali w niej znaczące karty, pokazuje, że niełatwo było im zerwać m.in. z alchemicznymi wierzeniami i praktykami. Przykładem może być profesor Uniwersytetu Oxfordzkiego Robert Boyle (1627–1691). Dzisiaj zaliczany jest do prekursorów chemii jako dyscypliny naukowej. Spore uznanie zyskał jednak już u współczesnych mu uczonych. Wyrazem tego było choćby wybranie go do Towarzystwa Królewskiego (pod taką nazwą funkcjonuje do dzisiaj angielska Akademia Nauk). Znaczące osiągnięcia miał zresztą nie tylko w chemii, ale także w fizyce. Sformułowane niezależnie przez niego oraz francuskiego uczonego Edme’a Mariotte’a prawo głosi, że w stałej temperaturze objętość danej masy gazu jest odwrotnie proporcjonalna do jego ciśnienia. Skonstruował też pomysłowe urządzenie do badania właściwości powietrza. W opublikowanej w 1661 r. książce *Sceptyczny chemik* (*The Skeptical Chymist*) kwestionował m.in. pogląd tych alchemików, którzy uważali sól, siarkę i rtęć za podstawowe substancje. Nie tylko jednak wierzył w możliwość

przekształcenia pierwiastków nieszlachetnych w szlachetne, ale nawet prowadził w tym zakresie badania laboratoryjne.

Sztandarowym dziełem tamtej epoki nie jest wszakże jego książka, lecz *Encyklopedia, czyli słownik rozumowy nauk, sztuk i rzemiosł*. Nazywana jest nie bez racji *Wielką Encyklopedią Francuską*, gdyż było to dzieło ogromne, liczące ponad trzydzieści tomów i zawierające w przekonaniu jego redaktorów naukowych i współautorów – Denisa Diderota i Jeana Le Rond d’Alemberta – prezentację tego wszystkiego, co można uznać za autentyczne osiągnięcia ludzkości. Znajduje się tam również hasło „Alchemia”, autorstwa twórców dzieła. Podane przez nich wyjaśnienia znaczenia tego terminu mogą wywołać pewną konsternację u tych, którzy oczekują, że będzie to próba odebrania alchemii prawa do znajdowania się w gronie autentycznych nauk. Już w pierwszym zdaniu stwierdza się tam bowiem, że „alchemia jest taką najbardziej subtelną chemią, dzięki której przeprowadza się niezwykle operacje chemiczne, których dokonuje się szybciej, niż dokonuje tego sama natura [...]; w ciągu kilku godzin wytwarza się stałą i czerwoną materię, która nazywa się *cynobrem* i która jest bardzo podobna do rodzimego cynobru, tyle tylko że wytworzenie go przez naturę zajmuje lata, a nawet stulecia” (Diderot i d’Alembert, 1777). Nieco dalej dodaje się wprawdzie, iż „możliwe jest, że również chemia zostanie doprowadzona do tak wysokiego punktu doskonałości jak alchemia”, lecz „tym, co nadal mocno sprzeciwia się postępowi nauki, jest to, że chemicy, to znaczy ci, którzy w swojej pracy kierują się zasadami, są przekonani o tym, że alchemia jest nauką wyimaginowaną i chemia nie powinna postępować jej drogą”. Krótko mówiąc, jest to jednoznaczna obrona alchemii. Dodam, że wprawdzie Diderot był filozofem i literatem niemającym przygotowania w zakresie nauk przyrodniczych, d’Alembert jednak był nie tylko filozofem, ale także mającym znaczące osiągnięcia fizykiem i matematykiem. W fizyce sformułował tzw. paradoks D’Alemberta – w jego świetle: opór ciała zanurzonego w nielepkiem, nieściśliwym płynie wynosi zero, w matematyce natomiast określił ilorazowe kryterium zbieżności szeregów geometrycznego i arytmetycznego. Wyrazem uznania dla tych osiągnięć było wybranie go nie tylko do francuskiej, ale również berlińskiej akademii nauk.

Inaczej alchemię postrzegał i przedstawił w swoim *Słowniku filozoficznym* Voltaire, przy czym znajduje się w nim nie hasło „Alchemia”, lecz „Alchemik”. Można się z niego dowiedzieć, że alchemik to osoba, która „komponuje złoto i stawia się nadal znacznie wyżej od zwykłego chemika, który zajmuje się innymi metalami. Niemcy wciąż są pełne ludzi, którzy szukają kamienia filozoficznego, tak jak my szukaliśmy wody nieśmiertelności

w Chinach i Fontanny Młodości w Europie. Znamy kilka osób we Francji, które zrujnowały się w tej pogoni. Liczba tych, którzy wierzyli w transmutację jest ogromna; stosunek łobuzów był proporcjonalny do tego, ilu było łatwowiernych” (Voltaire, 2010). Dalej pojawia się opis tych „łobuzów”. Niektórzy z nich posiadali nawet arystokratyczne tytuły lordów i markizów, co ułatwiało im naciąganie osób zamożnych na wydatki związane z ich alchemicznymi sztuczkami. W podsumowaniu tego hasła znajdują się m.in. stwierdzenia: „wszystkie tak zwane alchemiczne transmutacje zostały z grubsza wykonane w ten sposób. Zmiana natury jednego pierwiastka w inny (np. żelaza w srebro) jest to dosyć trudna operacja, ponieważ wymaga dwóch rzeczy, które prawie nie są w naszej mocy: unicestwienia żelaza i stworzenia pieniędzy. Nadal jednak są filozofowie, którzy wierzą w transmutację, ponieważ widzieli, jak woda zmienia się w kamień. Nie chcieli widzieć, że woda, wyparowawszy, odkłada piasek, którym została załadowana, i że ten piasek, łącząc jego części, stał się małym kruchym kamieniem, który jest dokładnie tym samym piaskiem, który był w wodzie”.

W drugiej połowie XIX i na początku XX stulecia alchemia straciła status dyscypliny naukowej i została zastąpiona przez chemię. Przyczyniła się do tego m.in. Maria Skłodowska-Curie (1867–1934), dwukrotna laureatka Nagrody Nobla: pierwszą z nich otrzymała (wraz ze swoim mężem Pierre’em Curie i Henrim Becquerelem) w roku 1903 w dziedzinie fizyki za odkrycie promieniotwórczości, drugą zaś w roku 1911 w dziedzinie chemii za odkrycie polonu i radu oraz badania właściwości chemicznych pierwiastków promieniotwórczych (Quinn, 1995: 207 i n.). Ten naukowy sukces nie byłby prawdopodobnie możliwy m.in. bez zmysłu konstrukcyjnego tych uczonych („Państwo Curie skonstruowali «komorę jonizacyjną» ze starych drewnianych skrzynek na warzywa”), a także bez tego łąta szczęścia, które jest potrzebne każdemu; w tym przypadku polegał on m.in. na „umieszczeniu na talerzu najpierw białego proszku uranu”, a później zastąpieniu go innymi pierwiastkami – „początkowo na chybił trafił”, ale „nie emitowały one żadnych promieni”. Szczęściu jednak zwykle trzeba pomóc; w tym przypadku pomoc ta polegała na tym, że Maria Curie „nie poprzestała na badaniu najpowszechniej występujących pierwiastków”, lecz „sięgnęła po próbkę cięższego, czarnego, smolistego minerału, znanego jako blenda smolista”. Okazało się, że „powoduje on jonizację o wiele silniejszą niż wytwarzana przez czysty uran” (Quinn, 1995: 212). Oceniając znaczenie tego naukowego osiągnięcia, Susan Quinn pisze, że „do chwili odkrycia promieniotwórczości wszystkie zjawiska zachodzące w przyrodzie można było wyjaśnić działaniem dwóch sił”, tj. przyciągania ziemskiego oraz siły

elektromagnetycznej”, a ponadto że „w ciągu pierwszych czterdziestu lat XX stulecia próby rozwiązania «zagadki» radioaktywności doprowadziły do poznania nowych sił kryjących się w jądrze atomu, sił o takim potencjale, że wiedza o nich na zawsze odmieniła nasz świat” – i, dodam od siebie, stworzyła możliwości jego zniszczenia jednym naciśnięciem atomowego guzika.

Kilka ogólniejszych uwag i sugestii

Generalnie moje uwagi są związane z fundamentalnym pytaniem, kto i co stanowi główną siłę sprawczą w postępach badań naukowych i przekładaniu ich wyników na praktyczne rozwiązania. Zapewne niejednemu uczonemu wydawało się i wydaje, że najważniejsze „karty” w tej swoistej grze znajdują się po jego stronie. Czy jest w takim myśleniu coś złego? Nie zawsze. Jeśli bowiem motywuje ono uczonego do bardziej intensywnej pracy badawczej i szukania odpowiednio wysoko kwalifikowanych kooperantów, to „czemu nie”. Przywołany przeze mnie przykład zespołu brytyjskich uczonych, który dokonał odkrycia DNA, przemawia w obronie takiego myślenia i mówienia. Mniejsza o to, że mogą powstawać i niejednokrotnie powstają napięcia w takim zespole – one również mogą mieć (przynajmniej do pewnego stopnia) konstruktywny charakter. Problem zaczyna się komplikować wówczas, gdy pełnoprawnymi uczestnikami tej gry o postępy w nauce są sprawujący władzę politycy oraz tacy biznesmeni, którzy mają wprawdzie spore środki finansowe i spore oczekiwania pod adresem uczonych, ale nie mają ani odpowiedniego naukowego przygotowania, ani nawet odpowiedniego rozeznania w możliwościach nauki. Dobrze jeszcze, jeśli zdają sobie z tego sprawę i chcą oraz potrafią znaleźć sobie odpowiednich doradców. Znacznie gorzej jest wówczas, gdy ani oni, ani też ich doradcy nie kierują się w swoim myśleniu i w praktycznym postępowaniu takimi celami, w których potrzeby nauki łączą się z potrzebami społecznymi, lecz takimi, w których brany jest pod uwagę wyłącznie lub przede wszystkim interes polityczny, i to doraźnie sytuowany. Takie przypadki zdarzały się w przeszłości i zdarzają obecnie. Zastanawiające jest przy tym, że ci niedouczeni politycy i ich doradcy nie chcą lub nie potrafią uczyć się na błędach swoich poprzedników.

Rzecz jasna można powiedzieć, że i pierwsi, i drudzy prędzej czy później przechodzą do niechlubnej przeszłości, a nauka trwa i trwać będzie mimo ich mizernych kwalifikacji i nieuzasadnionych aspiracji. O ile wszakże łatwiej byłoby uczonym nie tylko żyć, ale także dochodzić do znaczących

wyników, gdyby politycy nie próbowali dyrygować ich poczynaniami. Nie ma jednak tak dobrze i zapewne nie będzie dopóty, dopóki polityczna władza będzie się łączyła z posiadaniem i dystrybuowaniem finansowych środków na naukę. Nie sugeruję przy tym, aby wszystkie decyzje o finansowaniu badań naukowych pozostawić samym uczonym. Oni również bowiem mogą popełniać i niejednokrotnie popełniają poważne błędy w tym zakresie. Przykładem wziętym z krajowego podwórka może być chociażby ich występowanie w roli ekspertów w procedurach o granty na badania naukowe i przyznawanie przez nich znaczących środków finansowych na takie badania, które niewiele wnoszą do już istniejącej wiedzy. Mam w tym zakresie nie tylko swoje spostrzeżenia, ale też osobiste doświadczenia, i sporo mógłbym powiedzieć na ten temat. Mam jednak także wrażenie, że byłoby to, przynajmniej w polskich realiach akademickich, głosem wołającego na pustyni, od wielu bowiem lat o tym się mówi – i co?, ano nic lub prawie nic się nie zmienia w tym zakresie.

Kolejne uwagi i sugestie dotyczą rozkładu realnych intelektualnych sił i zawodowych kwalifikacji w tej specyficznej grupie społecznej, jaką stanowili i stanowią uczeni. Generalnie skłonny jestem zgodzić się z opinią tych, którzy uważają, że zachowuje tutaj swoją ważność zasada Vilfreda Pareta – w jej świetle 80% zasobów ludzkich stanowią osoby o przeciętnych lub mniej niż przeciętnych kwalifikacjach, a tylko 20% o kwalifikacjach ponadprzeciętnych. Wprawdzie ten włoski ekonomista łączył tę zasadę z zarządzaniem zasobami ludzkimi w gospodarce, ale po pewnej korekcie można ją odnieść także do sytuacji występującej w społeczności akademickiej. Korekta ta sprowadzałaby się do uznania, że zróżnicowanie w tej grupie ma w większym stopniu niż w innych grupach zawodowych charakter piramidalny. Na szczycie tej swoistej piramidy znajdują się ci nieliczni, których można nazwać naukowymi liderami owego swoistego „peletonu”, który raz spokojnie zmierza do mety (w nauce może ją stanowić dokonanie jakiegoś przełomowego odkrycia lub przynajmniej skorygowanie błędów poprzedników), innym zaś razem pędzi do niej tak szybko, że różnego rodzaju maruderzy tracą z nim kontakt. Na jej niższych piętrach sytuują się ci, którzy ani nie nadają przyspieszenia tej grupie, ani też jej specjalnie nie spowalniają, przy czym uważają oni, że nadmierna prędkość może im tylko zaszkodzić, nie mają bowiem takich sił i umiejętności, aby dotrzymać kroku liderom. Natomiast na samym jej dole sytuują się ci, którzy w peletonie kolarskim tworzą tzw. gruppetto. Wprawdzie niektórzy z nich czasami również potrafią wygrać jakiś etap tego swoistego wyścigu, ale raczej sprytem niż wysokimi umiejętnościami. Jeśli kogoś razi to sportowe porównanie,

to powiem, że mimo wszystko ma ono bardziej grzecznościowy charakter niż np. porównanie głównych kreatorów życia akademickiego do takiego scenicznego przedstawienia, w którym głównym aktorom przypada do wypowiedzenia Hamletowskie „być albo nie być”, a pomocniczym aktorom kwestia: „jaśnie panie – podano do stołu”. Tak czy inaczej w życiu akademickim role są znacząco różne.

Do głębszych refleksji może skłaniać nie tylko to, kto znajduje się na szczycie tej akademickiej piramidy, ale także to, w jaki sposób dostali się tam ci stosunkowo nieliczni naukowci liderzy. Ich intelektualne biografie pokazują, że są to osoby o dosyć istotnie różniących się cechach osobowościowych. Wprawdzie mało kiedy byli to uczeni, którzy wyznawali zasadę: „im ciszej siedzisz, tym dalej zajedziesz”, lecz i pod tym względem można znaleźć jakieś wyjątki. Takim wyjątkiem może być chociażby przywoływany w tych rozważaniach Darwin. Można o nim wiele powiedzieć, ale nie to, że był takim typem wojownika, który nawet niesprovokowany przez wroga lub tylko nieprzychylnie mu otoczenie gotowy był do walki „na śmierć i życie”. Takich wojowników miał jednak wśród swoich zwolenników – należał do nich Thomas Henry Huxley, nazywany nawet przez przyjaciół „buldogiem Darwina”.

Interesującym przyczynkiem do dyskusji na temat dostawania się na naukowe szczyty może być tzw. sprawa Galileusza. W historii nauki zapisał się on nie tylko swoim śmiałym opowiedzeniem się po stronie heliocentrycznej teorii Kopernika, ale także swoimi dramatycznymi przejściami, związanymi z postawieniem go przed inkwizycyjnym sądem i nie tylko wymuszeniem na nim uznania tej teorii za błędną, ale ponadto zobowiązania go do tego, że nigdy więcej nie będzie jej głosił, a na tych, którzy będą ją głosili, złoży donos do tego „świętego” kolegium sędziowskiego. Jak głosi legenda, wychodząc z sądu z pochyloną głową miał wyszeptać: *E pur si muove (A jednak się porusza)* – oczywiście Ziemia wokół Słońca, a nie odwrotnie. Jest to wszakże wyłącznie legenda. Zdanie to pojawiło się bowiem „po raz pierwszy jako napis na portrecie Galileusza namalowanym w roku jego śmierci” (Crombie, 1960: 266). Nie jest natomiast żadną legendą publiczne nazwanie przez tego uczonego swojego procesu „triumfem ignorancji, bezbożności, oszukaństwa i podstępu”.

Nie można jednak powiedzieć, że Darwinowi brakowało w gruncie rzeczy osobistej odwagi, Galileuszowi zaś najpierw jej zabrakło, a później – w jakimś akcie usprawiedliwienia tej postawy niegodnej uczonego – wystawił swoim sędziom jednoznacznie negatywne świadectwo. Można wszakże powiedzieć, że w tej batalii o naukowe racje liczą się nie tylko

tacy wojownicy jak Huxley, którzy bez skrupułów odpowiedzą na każdy realny bądź potencjalny atak, a ponadto że na takie legendy, jakie związane są z zachowaniem się Galileusza, trzeba sobie zapracować nie tylko żywymi kłopotami z nieprzychylnym otoczeniem społecznym, ale i takimi znaczącymi osiągnięciami, jakie były udziałem tego uczonego (a były one przecież różnorodne).

Gdybym miał na koniec tych rozważań sformułować jakąś generalną sugestię dla tych, którzy planują dostanie się na naukowe szczyty, to powiedziałbym, że nie tylko należy mierzyć swoje zamiary na posiadane siły i środki, ale także nie należy bezkrytycznie wzorować się na zachowaniach i poczynaniach tych, którzy się tam już znaleźli. Prowadzące na szczyt drogi są bowiem ogromnie zróżnicowane i do ich przejścia trzeba mieć nie tylko odpowiednie przygotowanie, ale ponadto sporo życiowego i zawodowego szczęścia – wyrażającego się m.in. w znalezieniu się w takim środowisku naukowym, które jeśli nawet nie będzie nam w naszych poczynaniach pomagało, to przynajmniej nie będzie ich specjalnie utrudniało.

Literatura

- Abelard, P. (1952). *Historia moich niedoli*, tłum. L. Joachimowicz. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Banyś, W. (2019). *Finansowanie szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce z uwzględnieniem perspektywy międzynarodowej Konferencja KRASP*. W: J. Woźnicki (red.), *Transformacja akademickiego szkolnictwa wyższego w Polsce w okresie 30-lecia 1989–2019* (ss. 76–113). Warszawa: KRASP – Wydawnictwo Naukowe PWN.
- Benzenhöfer, U. (1993). *Die Paracelsus-Dramen der Martha Silles-Fuchs im Umfeld des 'Vereins Deutsche Volksheilkunde' Julius Streichers*. W: P. Dilg, H. Rudolph (red.), *Resultate und Desiderate der Paracelsus-Forschung* (ss. 163–181), Stuttgart: Franz Steiner Verlag.
- Crombie, A.C. (1960). *Nauka średniowieczna i początki nauki nowożytnej*, t. 2, tłum. S. Łypacewicz. Warszawa: Instytut Wydawniczy PAX.
- Czarnek, P. (2021). MUSIMY WYRÓWNAĆ SZANSE. Min. Przemysław Czarnek mówi o akademiach, finansowaniu i konsolidacji uczelni, wolności akademickiej i ewaluacji. *Forum Akademickie*, 7–8, 6–7.
- De Vries, L., Spruit, L. (2017). Paracelsus and Roman censorship – Johannes Faber's 1616 report in context. *Intellectual History Review*, 28(2), 5.
- Diderot, D., d'Alembert, J. (1777). *Encyclopédie ou dictionnaire raisonné des sciences, des arts et des métiers par une société de gens de lettres mis en ordre et publié par m. Diderot et m. D'Alembert*, t. 1. Genève: Pellet imprimeur-libraire.
- Erazm z Rotterdamu (1953). *Pochwała głupoty*. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.

- Galilei, G. (1962). *Dialog o dwu najważniejszych układach świata: Ptolemeuszowym i Kopernikowym*, tłum. E. Ligocki, K. Giustiniani-Kepińska. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Gauquelin, M. (1955). *L'influence des astres: étude critique et expérimentale*. Paris: Éditions du Dauphin.
- Kaufman, A.B., Kaufman, J.C. (red.) (2018). *Pseudoscience: The Conspiracy Against Science*. London–Cambridge, MA: The MIT Press.
- Kołątaj, H. (1953). *Wybór pism naukowych*. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Le Goff, J. (1997). *Inteligencja w wiekach średnich*, tłum. E. Bąkowska. Warszawa: Oficyna Wydawnicza Volumen – Dom Wydawniczy Bellona.
- Melosik, Z. (2009). *Uniwersytet i społeczeństwo. Dyskursy wiedzy i władzy*. Kraków: Oficyna Wydawnicza Impuls.
- Nummedal, T.E. (2007). *Alchemy and Authority in the Holy Roman Empire*. Chicago: University of Chicago Press.
- Quinn, S. (1995). *Życie Marie Curie*, tłum. A. Soszyńska. Warszawa: Wydawnictwo Pruszyńska i S-ka.
- Reston, J. Jr. (1998). *Galileusz*, tłum. A. Szymański. Warszawa: Wydawnictwo Prószyński i S-ka.
- Seidler, G.L. (1984). *W nurcie Oświecenia*. Lublin: Wydawnictwo Lubelskie.
- Sędziwój, M. (1971). *Traktat o kamieniu filozoficznym*. Warszawa: Państwowe Wydawnictwo Naukowe.
- Sigerist, H.E. (1941). *Laudanum in the works of Paracelsus*, Bull. Hist. Med., 9, 530–544.
- Trevelyan, G.M. (1961). *Historia społeczna Anglii. Od Chaucera do Wiktorii*, tłum. A. Klimowicz. Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy.
- Voltaire (2010). *Dictionnaire philosophique*. Paris: Flammarion.
- Watson, J.D. (1995). *Podwójna helisa. Historia odkrycia struktury DNA*, tłum. W. Zagórski. Warszawa: Wydawnictwo Prószyński i S-ka.
- Wear, A. (1995). *The Western Medical Tradition*. Cambridge: Cambridge University Press.
- Webster, Ch. (2008). *Paracelsus: Medicine, Magic and Mission at the End of Time*. New Haven: Yale University Press.
- White, A.E. (1894). *The Hermetic and Alchemical Writings of Paracelsus*. London: James Elliott and Co.
- White, M., Gribbin, J. (1998). *Darwin. Żywot uczonego*, tłum. H. Pawlikowska-Gannon. Warszawa: Wydawnictwo Prószyński i S-ka.